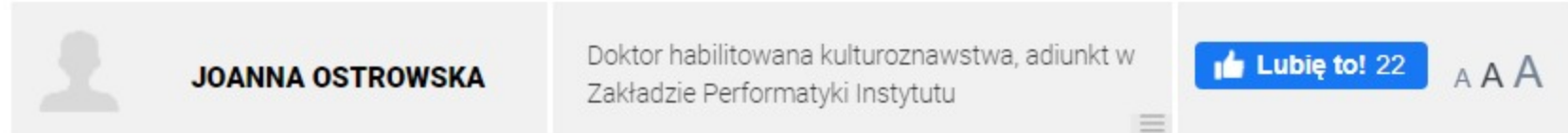
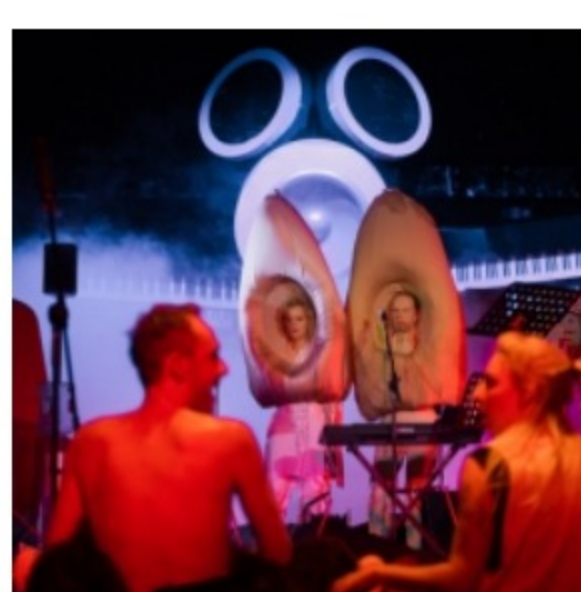


## Calisia



JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

Lubią to! 22 AA

Fot. Bartek Warzecha

**Calisia to oczywiście znana fabryka fortepianów i pianin, wytwarzanych, jak wymaga tego sztuka tworzenia dobrych instrumentów, ręcznie. Calisia uczyła Kalisz znanym na świecie. Calisia to także biota, teren mało ucywilizowany – taki obraz grodu nad Prosną pozostawili światu Rzymianie, dzięki którym miejsce położone wśród kału, czyli mokradeł, zyskało miano najstarszego polskiego miasta. Calisia, starożytna nazwa Kalisza, zawiera więc w sobie z jednej strony szlachetne rzemiosło w służbie sztuki, z drugiej – dzicz i biota. Jaką tożsamość miejsca może stworzyć takie rozdarcie?**

Aktualną dyrekcję Teatru im. Bogusławskiego zdaje się nurtować to samo pytanie, ponieważ już kolejną premierę poświęca Kaliszowi. Spektakle o Kaliszu (czy też o Kaliszmarze), powstające specjalnie dla tej sceny, wydają się nie tyle obwężaniem miejsca, by je poznać, roz-poznać, by odkryć jego tożsamość, co delikatnym (w przypadku *Kłesk w dziejach miasta* trochę mocniejszym), prowokacyjnym zaczepianiem. Te „przyjacielskie kuksańce”, jakie teatr wymierza swojemu miastu powodują, że utwory, które powstają na jego zamówienie, różnią się nieco od „dramaturgii miastologicznej”, jaka pojawia się od kilku, kilkunastu sezonów na polskich scenach. To ani rekonstrukcje lokalnych historii, ani poetycko-mitologizujące narracje, ani socjologiczne analizy – to półbaśnie, których Kalisz jest lekko wykpiwanym bohaterem. Sądząc po reakcjach znanych mi kaliszczan, poprzednia premiera – *Kłeski w dziejach miasta* – została raczej odebrana jako traktowanie z politowaniem tego miejsca przez desant przyjezdnych. Natomiast ostatnia, *Miasto pustych pianin*, ma wszelkie dane po temu, żeby stać się w Kaliszu spektaklem kultowym.

Do jej realizacji zostali zaproszeni Mateusz Pakula jako dramaturg i Lena Frankiewicz jako reżyser. Pakułę zdają się ostatnio fascynować problemy związane z obszarem tzw. kultury niskiej, popularnej i kiczu. W głośnej kieleckiej realizacji *Twardy gną, martwy świat* (reż. Eva Rysova) badał, czy „bad writing”, czyli dzieło programowo literacko kiepskie, może zamienić się w dobrą sztukę. By to „badać”, wziął koncept na fabułę i dialogi jak z amerykańskiego filmu oznaczonego daleką literką alfabetu i przeniósł je w obszar sztuki wysokiej, czyli do teatru. W efekcie powstał spektakl-żart, który na pewno na długo zapamiętam, lecz którego linię trudno byłoby kontynuować, nie popadając w trywializm. Amerykańska pop-kultura jest przedmiotem krytyczno-kpiącej refleksji, która sama zaczęła już w dużym stopniu zasilać popkulturę, włączając się na równych prawach z dziełami-inspiracjami w ten sam obieg kultury konsumpcji. Można kochać z równą intensywnością *Szklaną pułapkę* i *Szklaną po łapkach*, a póki obie przynoszą zysk, nikt o parodii nie będzie miał pretensji.

W *Mieście pustych pianin* Pakula obrał trochę inną strategię niż w *Twardym gnacie...*, sprawdzoną już dużo wcześniej w marginalizowanych obiegach kultury. Dramaturg zdaje się testować, czy kicz nieświadomiony, kicz będący jądrem popkultury, kiedy zostanie wyostrzony, doprowadzony świadomie do swojej ekstremalnej postaci, jest w stanie zamienić się w sztukę. Sięga w ten sposób po estetykę kampu wraz z jego ambiwalencją i ironią, dlatego materiałem dla swojego tekstu czyni – owszem – postaci i wątki z kultury popularnej, ale z różnych jej porządków (także filmowych), epok i krajów, łącząc je w jedną historię za pomocą konwencji baśniowej. Baśniowość jest tu użyta jako sztafaż dla absolutnego braku tego, co zwykle się nazywać gustem, dla operowania kliszami, kalkami wątkowymi jako podstawami narracji. Historia z nich utkana jest tak – proszę mi wybaczyć to określenie – idiotyczna, że aż... piękna?

No właśnie, pisząca (czyli ja) staje tu przed trudnością opisanie spektaklu, który jej się bardzo podobał, na którym się znakomicie wyśmiała, który uruchomił całą masę skojarzeń, lecz wobec którego trudno używać słów pasujących do tradycyjnego traktowania spektakli. Czy jednak użycie słów, które same aż się cisną: „zajefajny”, „popaprawy” (oba jako superlatywy), nie byłoby – wbrew finałowi przedstawienia – triumfem „kultury niskiej”?

Nagromadzenie w tym spektaklu elementów, które każdy żyjący trochę dłużej ma szansę poznać, wyjętych z ich oryginalnego kontekstu i sklejonych w jakąś hiperpopkulturową opowieść, buduje obraz bardzo świadomie zbudowanej narracji. Narracji, która śmieszy i która, mnie przynajmniej, zadziwia swoją spójnością w składaniu drobnych, niezliczonych fragmentów kiczu, tak że nie ma się wątpliwości, iż każdy z nich został użyty celowo i zarówno ze świadomością ładunku, jaki niesie, jak i kontekstu, który przywołuje. W ten sposób, paradoksalnie, powstała niezwykle erudycyjna narracja (jeśli tylko przyjmiemy, że termin erudycja może być stosowany wobec dogłębnej i chyba jednak podszytej fascynacją znajomości kultury popularnej), spod której co jakiś czas wystrzela zdanie otwierające ją na bardzo intelektualny kontekst. Jest to przejście na jakiś poziom „hiperkiczu”, który staje się całkiem odrębnym obszarem od tego tworzonego czasem w teatrze przez przywoływanie rozmaitych kontekstów popkulturowych na zasadzie puszczania do widza oka. Równocześnie można czerpać przyjemność z oglądania tego spektaklu bardzo wprost, bez uruchamiania tych wszystkich kontekstów, które mnie – „akademikowi” – same przychodzą do głowy. To przemieszanie wysokiego i niskiego jest w oglądaniu tego przedstawienia porównywalne do jazdy na *rollercoasterze*: niby wiemy, że lunapark to plebejska zabawa, ale doświadczenia naszego ciała są i tak ekstremalne i autentyczne. Dzięki tym „dołom” i „górom” powstały spektakl ma szansę trafić do bardzo rozmaitych kategorii widzów, właśnie łącznie z tymi, którzy jego estetykę potraktują bardzo wprost i będą się nią po prostu delectować, nawet bez próby wylapywania smaczków i szukania odniesień.

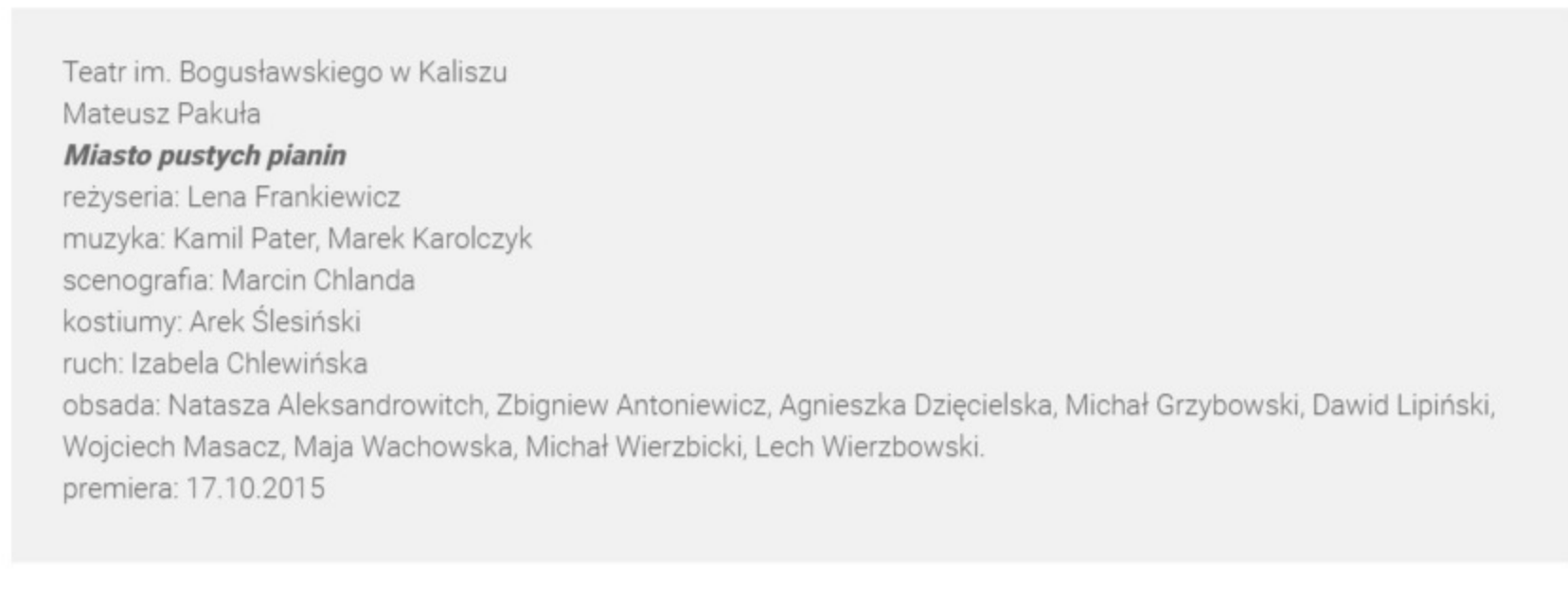
Oto co za „calisiańska” historia zostaje nam opowiedziana w *Mieście pustych pianin*. Dwoje wędrowców, Fibi (Maja Wachowska) i Erni (Dawid Lipiński), przemierza dżunglę (a może – opierając się na wertykalnej płaskości scenografii – jednak mokradła?) kiedy wpadają na nich dwa pianina przemienione w ludzi: Olaf (Michał Grzybowski) i Bolo (Michał Wierzbicki). Pianina są uciekinierami z Miasta Pięknych Pianin, które opanowała zła czarownica Sabrina (Natasza Aleksandrowitch), torturująca pozostałych mieszkańców złą muzyką (po *bad writing* przyszła pora na *bad music*). Dzielni wędrowcy udają się do miasta, gdzie po licznych perypetiach doprowadzają do zagmatwanego (rodem z *Imperium kontratakuję*), ale jednak finalnie szczęśliwego finału (pleonazm zamierzony). W całość wplecione są jeszcze postacie dwojga narratorów-komentatorów (Agnieszka Dziecielska, Lech Wierzbowski), którzy w pewnym momencie pojawiają się jako Muchomorzy, i sądząc po proroczwie, jakie wypowiadają, są niewątpliwie grzybami halucynogennymi, co generalnie tłumaczyłoby bezsens (znów zastrzeżenie: w tym miejscu nie jest to słowo wartościujące, a opisowe) opowiedzianej historii.

Frankiewicz z kolei swoją inscenizacją jeszcze mocniej podkreśla, że dziwaczna rzeczywistość sceniczna jest kiczem celowym. Stąd na scenie króluje chaos, nieporządek, przypadkowość i generalnie – bylejakosć. Wizualnie przypomina to zrobioną po najniższych kosztach scenografię do telewizyjnego programu któregoś z polskich kabaretów, lecz reszta rzeczywistości scenicznej przypomina raczej klimat *Kabaretu Olgi Lipińskiej*. Wygląda na to, że zarówno scenograf Marcin Chlanda, jak i autor kostiumów Arek Ślesiański oraz reżyserka i dramaturg za źródło, z którego pełnymi garściami można czerpać życiodajną wodę kiczu, uważają lata 80. dwudziestego wieku. Na scenie znajdują się różowa, staromodna przyczepa kempingowa, równie staromodna i równie różowa „kloszowa” suszarka do włosów oraz masa stojaków do nut. Poszczególne postacie ucharakteryzowane są na realnie działających w tamtych latach muzyków, jak Sabrina wspominająca „ty ciałem mnie kochałeś” czy członek pewnego duetu, który zyczył! „słodkiego, milego życia”, albo też muzyk trochę starszej daty, wychwalający prześliczną wio-wiolonczelistkę. Oni obaj to Pianina, które zostały przy złej Sabrinie (która jest także trochę postacią z serialu dla młodzieży). Spektakl o muzyce nie może się obyć bez muzyki, więc jest w nim też – znakomicie zresztą zaśpiewana przez Aleksandrowitch – *Taka Warszawa* Beaty Kozidrak (choć to utwór starszy, to kariera Kozidrak rozwinęła się w latach 80.) czy dana na finał w duecie z Wachowską piosenka Tyny Turner *We don't need another hero*. Fibi to postać trochę serialowa (szuka swoich przyjaciół), a trochę sumaryczny archetyp telewizyjno-komputerowych „wojowniczych księżniczek”. Jej imię można także odczytywać jako skrót od nazwiska Fibiger – założyciela fabryki fortepianów, która później stała się Calisią. Nic więc dziwnego, że to właśnie ona staje na czele ruchu o wywołanie muzyki. Ostatnie z trojga zniewolonych Pianin przypomina natomiast Toma Hulce'a jako Mozarta z filmu Miłosa Formana.

Można by te odwołania i skojarzenia wyciągać z każdej postaci i z niemal z każdej ich kwestii, bo tak gęsto to spektakl. Gdzieś jednak spod tej wybornej i inteligentnej zabawy gotowymi formatami, jakie proponuje nam popkultura (Sabrina po odśpiewaniu i erotycznym odtarciu słynnych *Boysów* rzuca w stronę widzów, że to przecież wyraz „wyzwolonej kobiecości”), wylazi Kalisz. Kalisz prowokowany, zaczepiany, drażniony i postawiony wobec pytania: kiedyś słynęliście z pianin – czym teraz zapelniacie pustkę?

Czy przywołując miastomitologiczne elementy historii uda się wskrzesić „dobrą muzykę”, o którą walczą ze wsparciem Fibi i Ernio z buntowane Pianina? Twórcy spektaklu raczej traktują to zagadnienie jak żartobliwe pacnięcie, którego nie sposób brać poważnie. Tym bardziej, że już w tytule wyrokują, iż Kalisz stał się „miastem pustych pianin”. Lata 80. to ostatni moment chwały fabryki fortepianów i pianin w Kaliszu. Słynna niegdyś Calisia to teraz chińska produkcja, jedynie stylistyką nawiązująca do dawnych wyrobów znad Prosnę. Nawet swoją siedzibę ma teraz w Warszawie. Kalisz rzeczywiście stał się miastem bez pianin. Zostało bioto?... Wielka, stylizowana maska gazowa, która jest logotypem spektaklu i która w pewnym momencie pojawiła się nad sceną, zdaje się chronić przed wzywaniami i miazmatami z biota. A że w miejscu pochłaniacza na głośniki, jest może szansa, że ponad biotami wyemituje dźwięki fortepianu, na jakim – jeszcze z napisem Fibiger – w pewnym momencie grał Pianin ucharakteryzowany na Mozarta. Jest jeszcze nadzieja na zmianę? Ale po co? Kicz jest taki zajefajny.

6-11-2015

TAGI: [Lena Frankiewicz](#), [Mateusz Pakula](#), [Marcin Chlanda](#), [Arek Ślesiański](#), [Marek Karolczyk](#), [Kamil Pater](#), [Izabela Chlewińska](#), [Kalisz](#), [Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu](#),[Udostępnij](#) [Lubią to! 22](#)

## SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden razy osiem jako iloczyn: 

## KOMENTARZE (1)

**krytyczka** | 2015-12-03 20:44:42 ## Cytuj

Pakula jest chyba najbardziej przereklamowaną wydmuszką. Lepiej by się wziął za dopracowywanie swoich dramatów, a nie takie prezentowanie brudnopisów. Spektakl do bani.